



32 OGÓLNOPOLSKI TURNIEJ POETYCH AUTOPORTRET JESIENIĄ KROTOSZYN 2023

szkice
do autoportretu

Pory roku przechodzą i zostawiają po sobie rozmaite drobnostki, tak że w tych porach roku następujących później znać coś z charakteru działań i wytworów pór poprzedzających. Mają coś zawsze kolejne pory roku odziedziczone smakowitego z okresów wcześniejszych. Myślę tu o majowych przymrozkach, kikutach przekwitłych tulipanów w lipcu, soczystych malinach zrywanych z listopadowych krzaków, czy to pudełko, które teraz, zimową już wszakże porą, jeśli trzymać się drobiazgowo kalendarza, leży spokojnie przede mną. Pudełko ma uchylone wieko, w środku zadrukowane kartki papieru, 147 zestawów wierszy świadczących na rzecz ubiegłej jesieni. Trochę jak widokówka nadesłana jesienią, a trochę jak coś zupełnie innego niż widokówka.

Co mi zwyczajowo zostaje po widokówce? Pamiętam, że ktoś mnie pozdrawiał, że komuś gdzieś było dobrze i że powinienem żałować, że gdzieś mnie nie było. Nie został jednak w mojej pamięci żaden ogólny komunikat (prześlanie? zalecenie?), który płynąłby do mnie z tych 441 wierszy. Mógłbym co prawda teraz wrócić do skrupulatnej lektury tych utworów, nastawiając się tym razem na poszukiwania jakiejś dominanty tematycznej, może podzielić wiersze podług tematów (rozstania, polityka, religia itp.) i pomierzyć wielkość stosów w ramach kategorii, ale zaprawdę (zaprawdę!) powiadam Wam - nie chcę tego robić. Nic by to o tym pozostawionym przez jesień pudełku nie powiedziało. A tam się tyle dzieje w tym pudełku! Skoro tylko wyciągniemy te wiersze pod światło żarówki (ech, już nie dobrego subtelnego jesiennego słońca!), wyjdzie na jaw, że "dżungla nie lubi przepuszczać/chyba że prosto w żrenice lamparta" (James Bond), że "Ojciec patrzy strapiiony/na Syna// i rzuca kostką" (Zero), że "zakon zakołysze każdym zakończeniem" (Sister hood). Ktoś się nam przyzna: "wietrzę korytarz skrzypieniem zawiasu/nie ma smaru powiązania ze stanem duchoty" (muchomor), ktoś inny zauważy przypominając (niechcący?) zakończenie tomu "Serce" Honeta: "wyliniałe stworzenie przy piersi przypomina agrest pokryty mączniakiem,/ jest najpiękniejsze" (valdis). A im dalej, tym więcej "ostatnich wiewiórek", "malarzy", "szadzi", "waranów z komodą", "Gugenheimów". Innymi słowy: pod światłem tej żarówki zaraz się zjawiają wiersze i autorzy, w większości tacy, których w tegorocznym konkursie nie nagrodziliśmy.

Ale są też tam przecież i ci, których pseudonimy i nazwiska znajdziemy w werdykcie. Nie będzie chyba zbyt niedyskrecją (i niespodzianką), jeżeli zdradzę, że każdemu z jurorów te 147 zestawów zaprezentowało się inaczej, każdy z nas co innego dla siebie z identycznych pudełek wyłowił, czym innym się zachwycił, inaczej sobie (wreszcie!) tę jesień na własny użytek sportretował. Ktoś dał się uwieść "baśniowaniu" rzeczywistości (choćby i bolesnej), ktoś inny jej "elipsowaniu", a jeszcze ktoś uządlić "bakfastową" frazę. Brnąc dalej w tę delikatną niedyskrecję, przyznam, że podczas obrad każdy z nas wytrwale (i stanowczo) próbował przesunąć kartonik z wierszami bliżej swojego miejsca przy stole, wzmocnić swojego faworyta. Wyszarpując sobie kartonik z dłoni, udało nam się ostatecznie wyłonić i nagrodzić: "StaregoOjca", "Dolphyna", "MałąOrdonkę" i "Wybierz mnie" (jakżeż profetyczny ten ostatni pseudonim!). Chociaż podczas obrad dzielnie szarpałem kartonik (nie powiem w czyją stronę, niedyskrecji powiedzmy dość), nie potrafiłem zrozumieć, co właściwie zachwyciło współobradujących w ich faworytach. Kiedy jednak teraz otwieram karton z wierszami i ponownie czytam utwory naszych nagrodzonych, to chyba wiem. Silne mi się wydają te wiersze, skrojone jak trzeba. Tak mi się przynajmniej jawią z tej nowej zimowej perspektywy.

Miło jest dostać coś w spadku po poprzedniej porze roku, ale jeszcze lepiej: zachować coś czasem na dłużej, niż tylko na kolejnych kilka miesięcy. Myślę, że dobrze będzie mieć te wiersze również kiedy minie ta paskudna zima.

przewodniczący Jury:

Maciej Raś

Krotoszyn, 21 grudnia 2023 r.
ostatniego dnia jesieni

Protokół z obrad jury
32. Ogólnopolskiego Turnieju Poetyckiego
AUTOPORTRET JESIENNY Krotoszyn 2023

Jury w składzie:

Maciej Raś – przewodniczący

Maciej Woźniak

Adam Wiedemann

Beata Ulbrych

po przeczytaniu 147 zestawów wierszy nadesłanych na Turniej
postanowiło przyznać:

I nagroda - **Beata Kołodziejczyk** z Warszawy
za zestaw wierszy z godłem Wybierz mnie

II nagroda - **Jakub Majewski** z Krakowa
za zestaw wierszy z godłem MałaOrdonka

II nagroda - **Jacek Świłto** z Oleśnicy
za zestaw wierszy z godłem DOLPHYN

III nagroda - **Michał Kaczmarek** z Sokolnik
za zestaw wierszy z godłem Stary Ojciec

wyróżnienia:

Artur Boratczuk z Boleszkowic za zestaw wierszy z godłem Bakfast

Bogdan Nowicki ze Świętochłowic za zestaw wierszy z godłem ELIPSA

Katarzyna Zając z Ozimka za zestaw wierszy BAŚNIENIE



Bezlitosna łaska

Chodzisz sobie bezczelnie
po moim śnie, nikt nie ma tyle
odwagi. Jestem dla ciebie
taka gotowa,
nawet nie musisz się starać.
Miałam być kobietą z waginą,
nie waginą, ale otwieram
przed tobą na oścież. Nic,
co podskórne, nie jest już
tylko moje. Aż się chce
uciekać.

Sen o życiu

Od czterdziestu lat próbuję osiwieć i nie mogę. Odkładam nawet jakieś monety. Na wypadek, gdybym zdecydowała się jednak dożyć siwizny. Albo nie dożyć i przynajmniej po wszystkim nie sprawiać problemów. A może zwyczajnie, żeby chociaż raz było po mojemu.

W kolejnym wcieleniu mogę być wszystkim, tylko nie jelitem. Nuży mnie powtarzalność.

Niebożę. Narodzenie

Matko Śnięta, spotrzebniej mi.
Tak bardzo chciałam się czegoś bać,
a jestem tylko trudna, zwyczajnie
odwałam szopkę.

Ciągnie do ulicy pełnej miasta
i to jest miasto, na które nic nie poradzę.
Na które jeszcze się taki nie znalazł,
co by poradził.

.



co to za życie bez śmierci
ona szepce do ucha
weź mnie pragnę Cię
zawsze jest w zasięgu ręki
co to za człowiek bez życia
idzie a Ty widzisz tylko
auto drzewo ulica
śmietnik latarnia
a on idzie i drze się
gestem wstydu
oczami psa
co to za życie za życia
upił się
bo stchórzył
nie zdycha

Mama

ziemia zawarta w jednym słowie
w pęcherzykach płucnych

oddechy pogrzebne w ziemi
uczczone minutą ciszy

prolog

deus deus
to nie wyliczanka
to zguba w ciągu Fibonacciego

jej kucyk raz w lewo raz w prawo
pamiętam tylko tyle
szedłem za nią

Twój robaczek już wyrósł
mieszka w kartonowym domku
podlewany mokrym snem

lekarz chciałby kolarz
kucharz szarpaną wołowinę
poda na białym talerzu

kilo 120 zł prob
lem z mięsem
zwierzątka nie narzekają
to się piecze dziesięć godzin

dzieci się ucieszą
już ostrzą zęby
wszystko zastyszane

co z tego że jest Piątek
skoro następny jest za tydzień
usuwaam woskównę



Ty tu jesteś od zadawania

właściwie nie tak często jakbym chciał lecz wreszcie
nadchodzą chwile kiedy dobrze umocowani
biorą się do roboty biorą na przesłuchanie
biorą mnie pod włos dzielony na niepewność

dobry glina ulepiony ze złej gliny zły glina
ulepiony bałwan w morzu słabego jak trzcina
myślenia słońcem spomiędzy liści wałą
po oczach poznają że kłamałbym gdybym umiał

biorą mnie za kogoś kto zna treść żołądka
zaciśniętego w zespół myślenia drażliwego
biorą za pas broń chwilowego wrażenia
pytania dawno już padły jak niegdyśjsze śniegi

warczą ty tu jesteś od zadawania
pytań niech ci nie przyjdzie do oczu
nie widzieć udawać ślepnąć od tej ciszy
mówić czy są jakieś pytania nie widzę

obyś widział bo gdy pytania jak roszczenia
wygasną zanikną gdy czas na pytania
się skończy głowy położą się pod toporne
trwanie bez niedyskretnej ciągłości

w jamie gdzie mdłości zasypiają
kropla co spada w dół nie dociera
a żukom toczącym kule esencji
nie chce się już dokądkolwiek iść

Poemat o panu Zdzisławie rozpoczyna się o poranku, kiedy rzeczy na stoliku zdają się szarością jeszcze bardziej nieprzystawalne. Następnie nienachalna jukstapozycja omiata bladym światłem, które zawsze pochmurnym porankiem wnosi wspomnienie o dniu, co już minął, migawki zastygniętych za oknem suchych gałęzi, poemat bowiem w szóstym wersie sugeruje uśpienie marcowego podwórka, dalej wzór kwiatu na firanie, psa drapiącego się w łeb, buteleczkę syropu, smugę kurzu na brązowym blacie kredensu, donośny głos za ścianą, odłóż ten garnek na miejsce, do cholery. Po czym w jedenastym wersie poematu pojawia się myśl, że nie przystoi tej namacalności tak dziwnie nie przystawać do niczego i to jest myśl, która wygląda jak nieproszony gość w mieszkaniu własnościowym na drugim piętrze, kiedy to największym marzeniem jest założenie regionalnego przedsiębiorstwa osuszania rzek i upuszczania krwi w koryto, które osuszy się z rozleniwiającego nadmiaru.

Ale to nie myśli pan Zdzisław, to myśli poemat, a poemat się nie myli.

A przy tym dziewiętnasty wers zda się marszczyć, dając granatowy poblask, jakby zmarszczki były śladem tak bardzo pożądanej łączności. I w dwudziestym pierwszym wersie uświadamia sobie pan Zdzisław brak połączeń między dowolnie wybranymi punktami, brak punktów wspólnych, punktów zaczepienia, chociaż zaczepianie kojarzy się panu Zdzisławowi z ostrą końcówką czyniącą szkody w postaci naruszania gładkości.

I już dwudziesty szósty wers mógłby opadać łagodnie mokrym zboczem gasnącej intonacji, ale nie opada, jeszcze bowiem zdaje się dwa wersy dalej panu Zdzisławowi, przy pierwszym łyku herbaty, że istnieje punkt styczny, wszystkich pojawiających się krótkotrwałych chociażby istnień wspólnota namacalna, ale nie, to nieświeże powietrze w ciasnym pokoju, ten poszum za oknem, to wspomnienie wczorajszej rozmowy, niepamięć jej treści, czerwony i brunatny zarazem lampion szklanki herbaty mówią wyraźnie, że nie ma takiego punktu, bo żaden taki punkt nie istnieje i nie istniał nigdy, ani u Euklidesa, ani u Platona, ani w najgoręcej oddanych mocy języka marzeniach entuzjastów hipostazi, ani na papierze, ani w świetlistej sferze, rym wewnętrzny, samotny w poemacie jak mieszkańcy kamienicy nieremontowanej od stuleci, nie poprawia samopoczucia nikomu, zresztą pan Zdzisław nigdy nie liczy na samoistną poprawę samopoczucia, nic się nie dzieje bez przyczyny, a gdy nie ma przyczyny, to nie zachodzi nic, mówi poemat, myśli pan Zdzisław i tak oto w przedostatnim wersie poematu znajduje się wszystko, co pan Zdzisław wie o świecie, w ostatnim wszystko, co świat wie o Zdzisławie i tu poemat się kończy tak, jak powinien.

Campus ubi Troia fuit

aktualne nawigacje w samochodzie
zapełnione terminarze
uchwalone budżety na przyszły rok
gabloty wielkie gabloty w muzeach

rościliśmy sobie do chwili
w której się okazało że chwila
była lub bardzo była lub jej już nie będzie

okazało się że okno nie schlebia oku
rynami spłynęło wszystko co jakoś miało trwać w górze

jak niedokończonym rozstrzygnięciem sięgnąć
pola gdzie była zastość pastelowa
udomowiona

śpi rozpostarta skóra nalotu
równina gdzie brezent zetlałe strzępki
okruchy gruz szkło roztrwonione pośłanie

gabloty wielkie gabloty w muzeach
ekrany małe ekrany w muzeach
teren gdzie siatka pojęć i pęknięć



Spostrzeżenia z

dwudziestego ósmego kwietnia
przychodzi list email
w sprawie mało ważnej
publikacji wierszy
uregulowania rachunku
zerwania więzi z usługodawcą

czwartego maja nie żyjesz
mija siedem dni
jak pełne okrążenie okolicy
przez wróbla
lub pociąg towarowy

chowamy cię
wśród nas syn żona i brat

z dalszej rodziny
ci którzy mieli możliwość
nie mieli sposobności

trzej przyjaciele syna
chcieli okazać szacunek
siedzą w ostatniej ławce

za oknem warkot maszyny
uderzenia młotka
liczne dowody na to
że nie kończy się nic
kończy się tylko
nieco głębszy wdech

organista ruchem ręki
podpowiada kiedy wstać
klęknąć
daje punkt oparcia
daje nadzieję
na polubowne załatwienie sprawy

gdy jesteśmy na zewnątrz
pytania o zdrowie
ostatnie wzruszenia

siadamy do stołu
należy napętnić żołądki
przed podróżą powrotną

płacz trzymiesięcznej dziewczynki
minąłeś się z nim w drzwiach
wasze okrężne ruchy
zamiana miejscami
sprawiły że jesteś ze mną

nie masz układu kostnego
tkanek włókien kolorów
nie ma cię we wspomnieniach

jesteś zamknięty w byciu
stołu ogrodu kubka do kawy

kubek do kawy jest
moce sprawcze zdania
także wobec ciebie

nie być nie można
wygasa upada wysycha
czasownik oddala się od znaczenia
które mu narzucamy
odpowiada na pytania
o znaczeniu odwrotnym

zanika
to znaczy co robi
umiera
czyli jest w trakcie życia

nawet nie istnieje
równa się w swojej wadze
z nie odchodzi czyli zostaje

zawiera zgodę z byciem
aby mogło nie być
to co znika z oczu
spisu mieszkańców
opłat za wywóz śmieci

przyjeżdża raz w miesiącu
zakład oczyszczania miasta

Domek numer 37

poddawany torturom
kiedy czujemy się skrzywdzeni
nie jadę na wakacje
zapytaj mamę dlaczego

próbujesz się bronić
jedyne narzędzie jakie masz
miłość
ja kocham tatę
dlaczego tata nie jedzie
roztrzęsiony i zapłakany
ja chcę tata jechał

im bardziej cierpisz
tym lepiej dla nas
on płacze przez ciebie
cios
ty się nad nim znęcasz nie ja

syn wtulony
ojciec patrzy na ścianę
myśli krzywdą
jak najwięcej krzywdy
abym zapomniał
gdy załatwiałem się w majtki
matka czyli teraz babcia
straszyła że jeśli jeszcze raz
to wysmaruje mi twarz odchodami
nie chciałem jeść mięsa bo tłuste
mielili zębami
wkladała do buzi kawałki bez chrząstek

jezioro
plaża
uśmiech
zabawa foremkami
pięciolatek obmywa na brzegu
świeże rany



Spotkania

Zbłądziwszy pośród lasów w obcej okolicy,
uchyliłem okno, bo noc była duszna.
Zapachniało
czarnym bzem i czeremchą,
i grzybnią randomowych wyobrażeń.
Siąpił deszcz.
Co czuje szyba, gdy umierają na niej krople?
Usłyszałem szum skrzydeł gdzieś w górze,
w ciemności.
Co myśli wiatr, spotykając ptaka?
Życie może być cudowną błagą,
falować amfibrachami.
Z kilku wspomnień cała wieczność.
Wtem samochód podskoczył
na przyschłej do asfaltu padlinie
i nawigacja oznajmiła:
"Cel podróży przed tobą".
Mój umysł stanął na głowie.
Nie spodziewałem się, przyznaję,
nie spodziewałem się takiego piękna.
W aureoli z pogruchotanych sumień,
ze złotymi pierścieniami samobójczych spełnień na cienistych palcach
zjawił się oto pośrodku drogi
książę tego świata
i patrzył na mnie po ojcowsku.
Powiedział:
"Pozwoliłem drzazdze jątrzyć pod paznokciem.
Suszę z wnętrza przeniosłem na zewnętrzne parzenie.
Srebrno-zieloną pleśnią zaścieliłem nieodwiedzane groby,
by zatrzeć imiona, których nikt nie chce pamiętać.
Pamięć nie jest ważna.
W nowym języku
nowy znak interpunkcyjny o kształcie wezbranej rzeki
zastąpi wszystko".
Gotów byłem wysiąść i skłonić się, lecz nawigacja rozkazała:
"Rozjedź go! Twoje są wszystkie światy".

Autoportret z synem

Moje dłonie zawsze lekko zaciśnięte
jakby trzymały nóż.
Lubią się rozwierać do wróżb i pozdrowień
i odwracać na deszcz.
Poza tym nerwowe, bębnią palcami
w czytane książki.
Słyszają huk wielkich sit.
Widzą, jak mielą młyny.
Jedne sita na słowa,
inne na czyny.
Zęby robią raczej prywatnie.
Nie mają poglądów
i nic nowego do powiedzenia.
Nie głosują.
Chodzą na pogrzeby.
Póki da się żyć - żyją.
Jak będzie trzeba - rewolucja!
Szczepiają świat na jakieś druty i taśmę.
Krzeseją ogień, nie mając pojęcia o istnieniu tlenu.
Malują obrazy w jaskiniach po to,
aby przez tysiące lat oglądały je wilki i niedźwiedzie.
Wymyślają paradoksy, a nie przyswoiły zasad logiki.
Zbudzone,
gdy rozwiewa się mgła ze słów,
wyruszają na górę.
Poczuwszy krew Izaaka,
dłonie doznają ukojenia.

Sierpniowa gloria

po spacerze na łąkach palce pachną wermutem
pierwsze kanie obtaczają się w mące
los pisze się niechlujnym charakterem
i sam nie potrafi się rozczytać
śni się wciąż to samo
burzowe chmury nad złotymi trawami
pszczelarze karmią matki na czerw
słyszeć mantry wyplewionej lebiodki
którą słońce skręca na wiór
na plażach dzieci fortyfikują granicę żywiołów zamkami z piasku
wszystko samo się czuje
ryby kreślą cyrkłami ogonów okręgi na rozlewiskach
samo z głowy wychodzi
ze skóry
paruje
mokre
dziewczyny całują się na wystodzonych spadzią ławkach
okna otwarte na noc



MARABUT

Kiedy wróciłem z pola biwakowego było już po wszystkim: dzieciarnia leżała pokotem, na czole matek wyrósł guz.

W oknach pobliskich domów rozbłyśły światła i pojawiły się ludzkie głowy. Zaczęły ujadać psy.

Upiekałeś dla mnie kurze udka, aby usprawiedliwić cotygodniowe znikanie w europe śródkowej serca trzymanego w formalinie.

Za balkonem balon widokowy unosił dzwon mgły.

Krzyki, piski, konwulsje jeszcze biegały po schodach w górę, czym prędzej na dół.

Dopiero gdy niebieski cieć zakaszlał bronchitycznie i splunął tuż zza skrzydła anioła czymś ciężkim i płaskim, jak gdyby zrzucił portfel, ucichło.

Ty tutaj byłeś, kiedy ja z pęcherzem piwa biegałem wokół ogniska.

Pamiętasz u źródła pitnej wody otworzyłeś we mnie rytm nowego życia jak kiełek, który rozrósł się w krzew lepiący się żywicą do twardych pni dni?

Ta wojna nie przyjdzie do nas?, pytałeś przed połknięciem pastylki,

a ja splukiwałem z chorągiewek blizny rakiet i flar, czując się jak najbrzydszy ptak świata, marabut.

AMNEZJA

Żebrzesz, prosisz o przynajmniej jeden wers,aby nawiązać rozmowę.

Pytam, po co w sondach umieszczać wiadomości dla istot pozaziemskich?

W platynie są odcisnięte pozdrowienia z pięćdziesięciu pięciu języków, dźwięki aut i wiertarek, również pienia waleni.

Nie ma jednak odgłosów strachu i zwątpienia.

Więc proszę nie szukaj wiszącego w powietrzu deszczu w pomiętej poduszce.

A w sprawie notorycznego obwąchiwania mojej marynarki, kiedy wracam z dżungli z wiązką kolców na grzbiecie, nie będę się już wypowiadał.

Mamy jeszcze stół, kuchnię, piec, toteż nie zaniedbujmy ziemniakologii, na oleju i z wody.

Lodówka brzęczy, zobacz jakie śliczne wyrastają z niej arktyczne brzozy,

wejdźmy w tę oszronioną kurtkę po raję, zwińmy w kłębek zapomnienia.

REINKARNACJA

Teraz, tutaj i nigdy, nigdzie, więc łopoce w przeciągu
uchylonych drzwi wszechświata filiżanka, jaką
trzymasz w ręce.

Zajmuję pusty, nieogrzewany pokój wartownika; kiedy
zbliża się godzina codziennych odwiedzin, udaję, że
moje serce nie jest z ciekłej rtęci.

Żeby podłoga nie uderzyła nam do głowy, słuchamy
łoskotu miasta i bomb cięższych od ziemskiego
globu.

Dalekie leje podobne są do bransolet, wciąż trzeszczą
w nich postręcane gniazda, z bezręcznych palców wypada
pędzel.

Z oklejonych plakatami szyb uśmiecha się do nas
astralny oligarcha.

Nasłuchuję czy ktoś nie puka, gdy chleb kładziesz na
stole, zostawiając wspomnienie jak ranę w
ostrzu noża.

Podajemy już sobie rzeczy bez przymiotników, wielkie
krzewy samotności. Nie śpimy obok siebie, bo wtedy
robi się śmietnik z naszych grzechów.

Widzę cię zawsze w liczbie mnogiej, w białych sukniach,
szeleszczącą krochmalonymi spódnicami,

pod zamkiem błyskawicznym pleców chowasz druk
mojego ostatniego wiersza.



CZERWONA GWIAZDA

W mroku łągu narodziła się po raz drugi.
I pierwszy raz umarła. Przyciśnięta przez mężczyzn
do ściółki. Wdychała zapach grzybni i mokrych liści.

Księżyc wschodził w pełni. Z każdą chwilą ubywało
bladego i niewinnego ciała. Nie pomogły ostrzyżone włosy,
zbyt luźne ubrania chłopaka. Kiedy jej księżycowe ciało
uniosło się ponad lasem, przestała istnieć. Nim odeszli,
splunęli na nią. W brzuchu wyrosły kolczaste chwasty.

Odtąd stała się starą wariatką, choć miała nie więcej
niż dwadzieścia lat. Zbierała rośliny, rozumiała mowę lasu
i ptaków. Sprzedawała zioła, owoce i własne sery.
Zamieszkała na uboczu, stroniła od ludzi. Jej najbliższą
rodziną były drzewa i hodowane zwierzęta.

Teraz przycupnęła w lesie. Szóstym zmysłem słyszy,
że znów maszerują żołnierze, świszczą śmiercionośne kule.
Niebo ma smak piołunu, kiedy wschodzi na nim gwiazda
w kolorze krwi. Rozdrapuje palcami mokrą ściółkę,
krtusi się ziemią, ciężko łąpie oddech. Chciałaby być
podobna do rosochatej wierzby. Połączyć się w jedno
z jej korzeniami i posiwiałymi włosami. Umrzeć drugi raz.

Przestać jak zjawą krążyć między światem
żywych i umarłych. Wypluć z ust niemy krzyk,
nim rozplynie się niczym trujący opar znad bagien.

KARDIOGRAM

Chciałam wejść do katedry pełnej światła,
wzniesionej z dębów i buków, sięgającej wieżami nieba.
A wędruję przez sterylną ciszę szpitalnych korytarzy,
wciąż nie wiedząc, czy usłyszę, że pacjent żyje.
Tak, jeszcze czuć puls. Po długiej nocy,
kiedy wszystko zawisło na zielonej drobinie mchu,
pojawia się promień słońca. Krytyczne godziny minęły,
ale chory wciąż balansuje na granicy życia i śmierci.
Widzę wokół martwe ciała drzew,

broczące krwią konary, ranne czeremchy i głogi.
Nie śpiewa żaden ptak, przez drogę nie biegnie sarna.
W napięciu wpatruję się w poszarzałą twarz lasu,
czekając aż rumieńce zabarwią policzki,
spojrzą na mnie nieprzytomne i zamglone oczy.

Wznoszę modlitwę do samotnego drzewa,
na którym wryto szkarłatną literę. I goreje we mnie
jak krzew płonący. Drzewo oliwne. Baranek ofiarny.
Mówi: mam dwadzieścia cztery lata

ocalałem prowadzony na rzeź. W jego koronie
dwa kruki wiją swoje gniazdo. Ich mroczny krzyk
przenika jak lodowaty podmuch wiatru.

MUCHOŁÓWKA ŻAŁOBNA ŚPIEWA TREN

Czułe ręce ulepiły mnie z gliny,
usta tchnęły ducha w nieożywione ciało.
Z ramion wyrosły skrzydła. I uniosłam się
ponad najwyższe drzewa z mroku puszczy.

Moje pióra lśniły bielą i czernią.
Byłam zwiastunem wiosny na tle błękitu nieba.
Chciałam wyśpiewać psalm dziękczynny,
a mogłam jedynie wydawać martwe dźwięki.
Mój śpiew opadał na krainę jak kir,
zamiast przynieść radość.

Na skrzydłach niosłam ciężar obrazów.
Widziałam spalone domy, puste oczy chłopca
ukrytego wśród zgliszczy. Matki opłakiwały synów -
jak widma płynąc przez widmowe miasta. Widziałam
niebezpieczną gorączkę w oczach mężczyzn,
kiedy brali w dłonie broń. Czuwałam przy żołnierzu,
z którego wypłynęły trzewia. Moja pieśń była
szrapnelem przebijającym jego mięśnie i tkanki.

Aż usłyszałam głos samca - zalotny i miłosny trel
w morzu ognia i krwi. I wróciliśmy razem do puszczy,
uwiliśmy gniazdo. Czasem chciałabym zaśpiewać
do snu pisklętom, ukołysać niespokojne w nocy dzieci.
Mój głos wciąż jest czarny od sadzy i pyłu. Boję się,
że okryje żałobą las, sprowadzi nieszczęście.



wydawca:



ul. 56 Pułku Piechoty Wlkp. 18
63-700 Krotoszyn
tel. 62 725 42 78
www.kok.krotoszyn.pl
e-mail: kok@krotoszyn.pl

projekt graficzny, redaktor techniczny, skład: Beata Ulbrych
fotografie: Maciej Karolewski

nakład 250 szt.